

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

MAŁŻONKA KRÓLA

Jack London

W czasach, kiedy Północ była bardzo jeszcze młodym krajem, rodzinne i obywatelskie cnoty jej mieszkańców wyróżniały się zarówno swą prostotą, jak i dzięki temu, że należały do rzadkości. Gdy ciężar gospodarskich obowiązków zaczynał doskwierać, a tęsknota za ogniskiem domowym przeradzała się w nieustanny bunt przeciw szarzyźnie samotniczego życia, poszukiwacz przygód przybyły z Południa — w braku czegoś lepszego — płacił umówioną cenę i brał żonę Indiankę. Dla niewiasty był to przedsmak raj, trzeba bowiem przyznać, że biały obieżyświat obchodził się z nią nieporównanie lepiej niż mąż z jej własnego plemienia. Rzecz jasna, biali też byli zadowoleni z podobnych transakcji, co wcale nie znaczy, że Indianie mieli powody do narzekania. Po sprzedaniu swych córek i sióstr za bawełniane koce i dobrze już wysłużone strzelby, a także po przehandlowaniu ciepłych futer za lichy perkal i podłą whisky synowie tej ziemi ochoczo i radośnie zapadali na galopujące suchoty i inne krótkie choroby, nieodłącznie związane z dobrodziejstwami wyższej cywilizacji.

Właśnie w owych czasach arkadyjskiej prostoty obyczajów Cal Galbraith wędrował północną krainą i w drodze, nad Dolną Rzeką, zachorował. W życie pocziwych sióstr Misji Świętego Krzyża, które go przygarnęły i kurowały, Cal wniósł pewne urozmaicenie. A przecież nawet do głowy siostrzyczkom nie przyszło, że ich troskliwe zabiegi i sam dotyk delikatnych dłoni wlewają mu do żył gorący eliksir rozkoszy. Dziwne myśli nękały Cala Galbraitha i nie dawały mu chwili spokoju, aż oko jego spoczęło na dziewczynce z misji, imieniem Madeline. Ale niczego nie dał po sobie poznać, tylko cierpliwie czekał stosownej pory. Z wiosną trochę wydobrażał, a kiedy słońce zataczało po niebie złocisty krąg i cała kraina pulsowała radością życia, Cal, choć jeszcze słaby, jakoś się zebrał i ruszył w drogę.

Owa Madeline, wychowanka misji, była sierotą. Jej biały ojciec pewnego razu nie zszedł z drogi siwogłowemu grizli i nagle rozstał się z życiem. Wówczas matka Madeline, Indianka, skoro brakło mężczyzny, który by wypełnił jej spiżarnię na zimę, podjęła ryzykowny eksperyment — postanowiła przetrzymać do wiosennego połowu łososi obywając się zapasem pięćdziesięciu funtów mąki i o połowę mniejszą ilością słoniny. Po tym eksperymencie maleńka Chook-ra przeszła na utrzymanie zacnych siostrzyczek i od tego czasu nazywała się Madeline.

Dziewczynka miała jednak rodzinę. Najbliższym jej krewnym był wuj ladaco, który rujnował sobie zdrowie używając w tym celu niesłychanej ilości whisky, napoju białych ludzi. Chciał koniecznie co dzień spacerować z bogami, a przy tej okazji nogi same niosły go prosto do grobu. W trzeźwym stanie wujo cierpiał niewypowiedziane katusze. Był to człowiek wyzuty z sumienia. U tegoż starego włóczykija zameldował się przepisowo Cal Galbraith. W rozmowie, jaka się między nimi wywiązała, wiele zużyto słów i mnóstwo tytoniu. Padły też pewne obietnice. Skończyło się na tym, że stary poganin zabrał parę funtów suszonego łososia, wsiadł w czółno z brzozy kory i powiosłował do Misji Świętego Krzyża.

Świat nie dowiedział się, co on tam naobiecował i jak nałgał — siostry są bardzo dyskretne. A jednak wrócił z mosiężnym krzyżykiem na śniadej piersi i siostrzenicą Madeline w czółnie. Tej nocy odbyło się weselisko połączone z *potlatchem*. Zabawa tak się udała, że przez dwa dni nikt ze wsi nie wyruszył na połów. Ale zaraz po nocy weselnej Madeline rankiem otrząsnęła ze swych mokasynów

pył ziemi znad Dolnej Rzeki i wraz z mężem odpłynęła łodzią. Osiedli nad Górną Rzeką w miejscu zwanym Doliną. Mijały lata. Madeline była dobrą żoną, dzieliła trudy męża i gotowała mu stawę. Trzymała go krótko, aż przestał szastać złotym piaskiem i wziął się porządnie do roboty. Wreszcie trafił na złotą żyłę, zbudował sobie domek w Circle City i był tak szczęśliwy, że ci, co bywali u niego w domu, nie mogli spokojnie na to patrzeć i zazdrość ich pożerała.

Aliści z biegiem czasu Północ zaczęła dorastać i poznała uroki życia towarzyskiego. Dotąd Południe słało tu swych synów, obecnie sypnęło nowymi zastępami, tym razem cór. Chociaż nie były to ani siostry, ani niczyje żony, nie omieszkały natchnąć mężczyzn nowymi ideami i nastroić życie na wyższą nutę, co uczyniły we właściwy sobie sposób. Żony Indianki przestały zbierać się na zabawach tanecznych. Linia roześmianych kobiet nie posuwała się już naprzód ku szeregowi tancerzy stojących pod drugą ścianą — nie tańczono już tego pocziwego, starego wirgińskiego kontredansa, nie weselono się też w tańcu z uciesznymi przyśpiewkami, zwanym „Dan Tucker”. Indianki zapadły znów w swój plemienny stoicyzm i z okien domów, bez słowa skargi, obserwowały nowe porządki zaprowadzone przez ich białe siostry.

Potem nowa fala przekroczyła góry przybywając z ludnego Południa: I oto zjawily się kobiety, które wzięły władzę w swe ręce. Ich słowo było prawem, a ich prawo — nieugięte jak stal. Panie te kosym okiem patrzyły na żony Indianki. Białym kobietom, które przybyły tu wcześniej, zrzędła mina i siedziały cicho jak trusie. Znaleźli się tchórze wśród mężczyzn. Wstyd im się zrobiło ślubów, jakie złożyli córom tej ziemi, zaczęli krzywić się na własne, ciemnoskóre dzieci. Ale byli też inni, prawdziwi mężczyźni. Ci z podniesionym czołem dochowali wiary swej przysiędze. Kiedy weszło w modę porzucanie tubylczych żon, Cal Galbraith pozostał mężczyzną, za co poczuł ciężką rękę kobiet, które przybyły ostatnie, o niczym nie miały pojęcia i rządziły się tutaj jak szare gęsi.

Pewnego dnia nadeszła wieść, że w Górnym Kraju, który leży daleko za Circle City, obrodziło złoto. Psie zaprzęgi poniosły nowinę do Słonej Wody; wielkie statki zabierały złoto, a wraz z nim przewoziły przez północny Pacyfik obiecującą wiadomość; wyśpiewywały ją kable i druty telegraficzne. Wtedy to świat po raz pierwszy usłyszał o rzece Klondike i kraju nad Yukonem.

Cal Galbraith od lat pędził stateczny żywot. Był dla Madeline dobrym mężem, a ona powiła mu synka. Nadszedł jednak czas, gdy ogarnęło go niezadowolenie; jakoś brakowało mu ludzi jego rasy, tęsknił do życia, od którego został odcięty — słowem, owładnęło nim owo pragnienie, jakie czasem odczuwają mężczyźni, gdy mają ochotę zerwać więzy i poznać smak pełni życia. Prócz tego rzeką spływały niesłychane opowieści o cudownym Eldorado, płomienne opisy miasta namiotów i chałup z okrągłaków, a także zabawne historie o najeździe *cheechakuo* uganiających się po całym kraju. Circle City zamarło. Wszyscy ruszyli w górę rzeki i tam rozpoczęli nowe, wspaniałe życie.

Cal Galbraith nie mógł już usiedzieć na miejscu, tak bardzo chciał zobaczyć to wszystko na własne oczy. Gdy więc skończył płukanie, odważył na wielkich szalach Towarzystwa dwieście funtów złotego piasku i wziął za to czek płatny w Dawson. Potem oddał swoje ko palnie pod opiekę Tomowi Dixonowi, ucałował Madeline na pożegnanie, obiecał, że wróci przed pierwszymi lodami, i wsiadł na statek parowy odpływający w górę rzeki.

Madeline czekała. Czekala przez całe trzy słoneczne miesiące. Karmiła psy, wiele czasu poświęcała małemu Calowi, patrzyła, jak krótkie lato dobiega końca, a słońce rusza w daleką drogę na południe. I wiele się modliła, tak jak ją nauczyły siostry z Misji Świętego Krzyża. Przyszła jesień, a wraz z nią pojawiły się pierwsze lody na Yukonie. Królowie z Circle City wracali na zimowe prace w swych kopalniach. Cala Galbraitha ani śladu. Tom Dixon musiał jednak dostać list od Cala, bo ludzie Toma przywieźli jejsankami zapas suchej sosny na zimę. Towarzystwo widocznie też otrzymało list, gdyż przysłało psie zaprzęgi z najlepszym towarem i wypełniło spizarnię Madeline.

Powiedziano jej przy tym, że w sklepie ma kredyt nieograniczony.

Od niepamiętnych czasów mężczyzna był zawsze uważany za głównego sprawcę kobiecej niedoli. Tym razem jednak mężczyźni nie puścili pary z ust i tylko między sobą brzydko klęli na nieobecnego kolegę. Za to kobiety ani myślały pójść w ich ślady, w związku z czym Madeline bez niepotrzebnej zwłoki dowiedziała się ciekawych rzeczy o poczynaniach Cala Galbraitha, jak również o pewnej greckiej tancerce, która bawi się mężczyznami tak samo, jak się bawią dzieci puszczać bańki mydlane. Madeline była Indianką, a po drugie, nie miała przyjaciółki, do której mogłaby pójść po mądrą radę. Cały dzień modliła się i rozmyślała na zmianę, a w nocy, jako że decydowała się szybko, zaprzęła psy, przywiązała małego Cala bezpiecznie do sanek i opuściła osadę.

Choć Yukon jeszcze płynął, lód przybrzeżny z każdym dniem narastał, a rzeka malała i toczyła się mętnym strumieniem. Kto sam tego nie doświadczył, nie może wiedzieć, co przeżyła Madeline wędrując sto mil po wąskim skrawku lodu, ani nie pojmie, ile wycierpiała przedzierając się przez lodowe zwały na przestrzeni dwustu mil, kiedy rzeka na dobre zamarzała. Ale Madeline była Indianką, więc jakoś dała sobie radę i pewnej nocy zastukała do drzwi Malemute Kida. Gospodarz najpierw nakarmił zgłodniałe psy i ułożył w łóżku zdrowego chłopaka, a potem zajął się kobietą, ledwie żywą ze zmęczenia. Słuchając opowiadania Madeline, Kid zdjął jej z nóg oblodzone mokasyny i końcem noża kłuł ją w stopy, żeby sprawdzić, w jakim stopniu zostały odmrożone.

Malemute Kid, chociaż chłop z niego był na schwał, serce miał jak z wosku, dzięki czemu potrafił obłaskawić najbardziej zażartego wilczura, a najskrytsze serca ludzkie nie miały przed nim tajemnic. Wcale zresztą o to nie zabiegał. Same się przed nim otwierały, jak kwiaty do słońca. Mówiono, że nawet ojciec Roubeau spowiada się przed Kidem. Mężczyźni i kobiety z Północnej Krainy ustawicznie stukali do jego drzwi — drzwi, które każdy mógł otworzyć, bo sznurek od skobla zawsze zwisał na zewnątrz. W oczach Madeline Kid był człowiekiem, który nie robi nikomu krzywdy ani nie może się omylić. Znała go niemal od chwili, gdy przyszła na świat wśród ludzi białych jak jej ojciec. W swej na wpół barbarzyńskiej główce uroiła sobie, że Kid jest siedliskiem całej mądrości zgromadzonej przez wieki i że żadna zasłona nie kryje przed nim widoku przyszłości.

Fałszywe ideały rozpanoszyły się w kraju. Obecne rygory moralne niepodobne były do tych, jakie dawniej panowały na Północy. Kraj szybko dojrzał, co narobiło wiele złego. Wiedział o tym Malemute Kid, a i o Calu sąd miał wyrobiony. Zdawał sobie sprawę, że jedno nieopatrzne słowo może się stać przyczyną nieszczęścia, a poza tym zamierzał dać Calowi nauczkę i porządnie go zawstydzić. Toteż następnego wieczoru Stanley Prince, młody inżynier-górnik, wezwany został na naradę. Obecny był również Jack Harrington, zwany „Szczęśliwym Jackiem”, oraz jego skrzypce. A w nocy Bettles, który miał wielki dług wdzięczności wobec Kida, zaprzęął psy Galbraitha, przymocował Cala juniora do sanek i pod osłoną ciemności ruszył nad Rzekę Stuarta.

— I raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. A teraz w drugą stronę! Nie, nie tak! Jack, jeszcze raz od początku. Patrz — tak.

Prince pięknie wykonał kilka kroków walca, jak przystało wodzirejowi.

— Proszę! Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. I w lewo! No, już lepiej. Jeszcze raz. Słuchaj, nie wolno patrzeć na nogi. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. Krótszy krok! Wyprostuj się, nie biegniesz za sankami. No, spróbuj! O! Teraz dobrze. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy.

Prince i Madeline bez wytchnienia kręcili się w walcu. Stół i krzesła zsunięto pod ścianę, żeby było więcej miejsca. Malemute Kid przycupnął na pryczy, kolana podkurczył pod brodę. Ogromnie był zaciekawiony. Jack Harrington siedział obok niego, pitolił zawzięcie na swoich skrzypczkach, przygrywając do tańca Prince'owi i Madeline.

Nieczęsto się zdarza, by trzech mężczyzn tak się zajęło jedną kobietą. Najbardziej zaś

wzruszający był rzeczowy spokój, z jakim przystąpili do dzieła. Żaden zapaśnik nie był tak ostro trenowany przed zawodami, żadnego wilczura tak usilnie nie zaprawiano do upręży, jak ci trzej ćwiczyli żonę Cala. Ale materiał był podatny, gdyż Madeline, inaczej niż większość kobiet jej rasy, uniknęła w dzieciństwie dźwigania ciężarów i wyczerpującej pracy na szlaku. Ponadto była istotą zgrabną, giętką i obdarzoną wdziękiem, jak dotąd ukrytym. Właśnie ten jej urok mężczyźni starali się wydobyć na jaw i nadać mu zewnętrzny kształt.

— Cała bieda, że już się nauczyła tańczyć, i to okropnie — rzucił Prince w stronę pryczy, posadziwszy zdyszana ticzennicę na stole. — Pojętna to ona jest, ale lepiej by mi z nią poszło, gdyby nigdy w życiu nie tańczyła. Słuchaj, Kid, nie rozumiem, skąd jej się to wzięło?

Prince zademonstrował charakterystyczny ruch ramion i głowy — defekt postawy Madeline.

— Miała szczęście, że się chowała w misji — odparł Malemute Kid. — To od dźwigania ciężarów, kapujesz, od rzemienia na czole. Z innymi Indiankami jest znacznie gorzej. Madeline nie była objuczana bagażem, dopiero jak wyszła za męża, i to tylko na początku. Przy mężu dobrze dostała w skórę. Przeżyli razem głodówkę w Czterdziestej Mili.

— Damy temu radę?

— Nie wiem. Może pomogą długie spacerzy z trenerami. W każdym razie trochę się podciągnie, prawda, Madeline?

Dziewczyna kiwnęła głową. Jeśli Malemute Kid, który wie wszystko, mówi, że coś będzie, to i będzie. Szkoda każdego słowa.

Podeszła do nich, pilno jej było zacząć na nowo. Harrington zmierzył ją spojrzeniem, podobnie jak znawcy szacują konia. Najwidoczniej nie spotkał go zawód, bo nagle ożywił się i zapytał:

— Co dostał za ciebie ten twój parchaty wujek?

— Jedną strzelbę, jeden koc, dwadzieścia butelek *hooch*. Strzelba złamana.

Ostatnie słowa wypowiedziała z pogardą. Niewątpliwie niesmakiem napawała ją myśl, że tak nisko oceniono jej cnotę panięską. Po angielsku mówiła niezle, choć wiele osobliwości językowych zapożyczyła od męża. Nie wyzbyła się jednak indiańskiego akcentu i zdradzała skłonność do charakterystycznych gardłowych dźwięków. Nauczyciele zabrali się także do jej wymowy, i to z niemałym powodzeniem. Podczas następnej przerwy Prince odkrył nową przeszkodę.

— Słuchaj, Kid — powiedział. — Wszystko na nic. Nie nauczy się tańczyć w mokasynach. Włożyć dziewczynie pantofelki i jazda, na woskowaną podłogę! Ho, ho, ho!

Madeline podniosła nogę i nieufnie obejrzała bezkształtny mokasyn domowej roboty. Poprzednich zim, zarówno w Circle City, jak w Czterdziestej Mili, przetańczyła niejedną noc w takim obuwiu i było dobrze. A teraz... hm, jeśli coś nie jest jak należy, powinien wiedzieć o tym Malemute Kid.

I Malemute Kid wiedział. A miarę miał w oku. Wcisnął więc czapkę na głowę, naciągnął rękawice i zszedł do osady. Postanowił złożyć wizytę pani Eppingwell. Jej małżonek, Clove Eppingwell, był miejscową wielkością, jako jeden z wyższych przedstawicieli państwowej władzy. Pewnego wieczoru na balu u gubernatora Kid zauważył zgrabną nóżkę pani Eppingwell. Wiedział też, że jest to osoba równie rozsądna, jak piękna, nietrudno więc mu przyszło poprosić ją o pewną drobną przysługę.

Po jego powrocie Madeline wyszła na chwilę do drugiej izby. Gdy znów się zjawiała, Prince zdębiał.

— Na Jowisza! — zawołał. — Kto by pomyślał! Mała czarodziejka! Otóż, moja siostra...

— Jest Angielką — przerwał mu Malemute Kid — i ma angielską nóżkę. A ta dziewczyna należy do rasy o drobnej stopie. W mokasynach nóżki swobodnie jej się rozwinęły, ale nie zniekształciła

ich, bo nie biegła w dzieciństwie za psim zaprzęgiem.

To wyjaśnienie bynajmniej nie zmniejszyło zachwytu Prince'a. Kupiecki zaś zmysł Harringtona nie mógł się pogodzić z ceną Madeline. Kiedy patrzył na świetnie utoczoną stopę i kostkę dziewczyny, nie odstępowała go myśl o bezecnym rachunku: „jedna strzelba, jeden koc, dwadzieścia butelek *hooch*”.

Madeline była żoną króla. Króla, który w każdej chwili mógł sięgnąć ręką do złotego skarbca i zafundować sobie dwadzieścia wysztafirowanych laleczek. A jednak przez całe życie stopy Madeline nie знаły innego obuwia, jak z czerwonej, surowej skóry łosia. Teraz z trwogą spojrziała na białe atlasowe pantofelki. Ale szybko zrozumiała, co jest przyczyną męskiego podziwu malującego się w oczach opiekunów. Duma opromieniła jej twarz. Przez chwilę upajała się własną urodą. Potem szepnęła z jeszcze większym oburzeniem: „I jedna złamana strzelba!”

Nauka odbywała się regularnie. Co dzień Malemute Kid prowadził Madeline na daleki spacer, żeby poprawić jej postawę i skrócić krok. Mało prawdopodobne było, że ją ktoś rozpozna, bo Cal Galbraith i reszta „starej gwardii” zgubili się jak dzieci w tłumie obcych ludzi, którzy najechali Północ. Ponadto mróz ostro kąsał i delikatne kobiety z Południa w obawie przed okrutnymi pieszczotami mrozu najchętniej osłaniały policzki maskami z grubego płótna. Gdyby matka i córka, zakutane w parki z wiewiórek, zakrywszy twarze, spotkały się na szlaku, przeszłyby obok siebie i wcale się nie poznały.

Nauka szybko postępowała naprzód. Początek był ciężki, ale potem poszło jak z płatka. Zmiana zaszła od chwili, gdy Madeline przymierzyła białe atlasowe pantofelki i odnalazła sama siebie. Obok naturalnego poczucia godności osobistej zrodziła się w niej duma z ojca, białego renegata. Dotąd uważała się za kobietę obcego pochodzenia, niższej rasy, kupioną z łaski swego pana i władcy. W mężu widziała boga, który ją wyniósł, bez żadnej większej zasługi z jej strony, na swoje boskie wyżyny. Nigdy jednak nie zapomniła, nawet gdy urodził się mały Cal, że nie należy do plemienia męża. Jeśli on był bogiem, to i kobiety jego rasy były boginiami. Wiedziała, co ją dzieli od bladolicych niewiast, lecz nigdy się z nimi nie porównywała. Podobno im bliżej się kogoś poznaje, tym bardziej nim się pogardza. Tak czy inaczej, Madeline wreszcie zaczęła się wyznawać na białych włóczęgach i należycie ich oceniać. Wprawdzie umysł jej nie był zdolny do przeprowadzenia świadomej analizy, ale patrzyła na te sprawy z istic kobiecą przenikliwością. Owego wieczoru, gdy przymierzyła atlasowe pantofelki, nie uszedł jej uwagi szczerzy i nie ukrywany podziw trzech przyjaciół. Wtedy to po raz pierwszy porównanie z innymi kobietami samo się nasunęło. W grę wchodziła tylko stopa i kostka, trudno jednak wymagać, by porutnywnania ograniczyły się do tych wdzięków. Gdy się postawiła obok swych białych sióstr, zbladła ich aureola. Ostatecznie były tylko kobietami, czemuż by więc nie miała wznieść się do ich poziomu? Zdała sobie sprawę z własnych braków, a wraz z poznaniem słabości przyszła siła. I z takim rozmachem wzięła się do roboty, że trzej nauczyciele często do późnej nocy rozprawiali o wiecznej zagadce, jaką jest białogłowa.

Tymczasem zbliżał się Dzień Dziękczynienia. Od czasu do czasu Bettles z osady nad Rzeką Stuarta donosił w paru słowach, jak się miewa młody Cal. Niebawem mieli powrócić. Bywało, że do chaty Kida zaglądał nieoczekiwany gość, zwabiony taneczną muzyką i rytmicznym tupaniem, ale w izbie zastawał tylko Harringtona, rzępolącego na skrzypkach, i tamtych dwóch, jak wybijali nogami rytm albo hałaśliwie kłócili się o jakiś taneczny krok. Madeline nikt nie widział, gdyż zmykała w popłochu do przyległej izby.

Pewnego wieczoru zapędził się do Kida Cal Galbraith. Właśnie otrzymali pomyslnie nowiny z osady nad Rzeką Stuarta, a Madeline przeszła samą siebie — nie tylko w ruchach, postawie i gracji, ale i w kobiecej zalotności. Mężczyźni pozwalali sobie na wcale ostre zaczepki — broniła się

wspaniale. Upojona powodzeniem i zdobytą przewagą, zaczęła ich rozstawiać po kątach, wodzić za nos, przymilać się i grymasić, święcąc nie spotykane tryumfy. Instynktownie, mimo woli ulegali nie tyle jej urodzie, inteligencji i dowcipowi, co owej nieuchwytnej kobiecości, wobec której mężczyzna chyli czoło, choć nie potrafiłby jej określić. Kiedy Madeline i Prince puścili się w ostatni taniec tego wieczora, cała izba po prostu oszalała. Harrington wygrywał na skrzypcach niesłychane cudeńka, a Malemute Kid tak się rozochocił, że porwał miotłę i kręcił się z nią w kółko, jakby go bies opętał.

Nagle ktoś zastukał do drzwi, aż się zatrzęsły, i natychmiast potem zobaczyli, że skobel się podnosi. Ale przeżywali już podobne sytuacje. Harrington grał dalej i ani się zająknął. Madeline śmignęła w przezornie otwarte drzwi do drugiego pokoju. Miotła szurnęła pod pryczę. I nim Cal Galbraith i Louis Savoy wetknęli głowy do środka, Malemute Kid z Prince'em trzymali się w objęciach i wywijali skoczną szkocką polkę.

Indianki na ogół nie mają zwyczaju odchodzić od zmysłów pod wpływem silnych wrażeń, a jednak Madeline nigdy tak bliska nie była omdlenia, jak właśnie wtedy. Przycupnęła pod drzwiami i przez całą godzinę słuchała męskich basów dudniących w izbie na podobieństwo grzmotów przetaczających się po niebie. Jak akordy piosenek zapamiętanych w dzieciństwie, każda intonacja, każde drgnienie męzowskiego głosu zapadało w duszę Madeline. Serce jej łomotało i kolana się pod nią ugiwały, aż wreszcie, ledwie żywa, obsunęła się na podłogę pod drzwiami. Dobrze się stało, że nic nie widziała ani nie słyszała, gdy Cal zaczął się zbierać do odejścia.

— Kiedy wracasz do Circle City? — z głupia frant zapytał Malemute Kid.

— Bo ja wiem — odparł Cal. — Nie wcześniej chyba, jak ruszą lody.

— A Madeline?

Za całą odpowiedź Cal zaczerwienił się i szybko spuścił oczy. Malemute Kid zniechęciłby go za to, gdyby nie znał mężczyzn. Ale dobrze ich znał, więc tylko gniew go ogarnął na żony i córki, które przybyły do tego kraju i nie dość im było, że wygryzły Indianki zajmując ich miejsce, lecz jeszcze nabiły mężczyznom głowy nieczystymi myślami i napędziły im wstydu.

— Nic jej chyba nie brakuje — śpiesznie dodał król Circle City, jakby się chciał usprawiedliwić. — Tom Dixon pilnuje, jak wiesz, moich interesów i już jego w tym głowa, żeby jej na niczym nie zbywało.

Malemute Kid położył mu rękę na ramieniu. Cal zamilkł. Wyszli na dwór. Nad ich głowami zorza polarna roztaczała swe wspaniałości, grając cudowną gamą barw; w dole leżało uśpione miasto. Gdzieś daleko w dolinie odezwał się głos samotnego psa. Król znów zaczął coś mówić, lecz Kid ścisnął mu rękę na znak, żeby dał spokój. Rosło psie zawroźnienie. Jeden po drugim odzywały się psy i po chwili noc wypełnił chór głosów wyjących na całe gardło. Kto po raz pierwszy słyszy tę niesamowitą muzykę, poznaje największą tajemnicę Północy; dla tego, kto słuchał jej często, brzmi ona jak podzwonne darem™ nym trudom. Brzmi jak skarga umęczonych dusz ludzkich, albowiem w pieśni tej zaklęte jest dziedzictwo Północy, cierpienia niezliczonych pokoleń — oto przestroga i pienia pogrzebowe dla nieszczęsnych ludzi, którzy się tutaj zabłąkali.

Chór zamarł w tłumionym łkaniu. Cal Galbraith lekko się wzdrygnął. Kid czytał w jego myślach jak w otwartej księdze. Wraz z nim przebiegał w pamięci upiorne dni głodu i choroby. Calowi dotrzymywała wtedy kroku cierpliwa Madeline. Dzieląc jego trudy i niebezpieczeństwa, nigdy nie traciła nadziei, nigdy się nie skarżyła. Przed oczyma duszy Cala przesuwwały się dziesiątki obrazów, surowych i ostro zarysowanych, a ręka Przeszłości mocno zacisnęła palce na jego sercu. Nadeszła chwila, Malemute'a Kida korciło, żeby właśnie teraz rzucić kartę chowaną w zanadrzu i przypieczętować nią zwycięstwo w grze przeciw Calowi. Ale byłaby to zbyt łagodna nauczka, oparł się więc pokusie. W chwilę potem ścisnęli sobie ręce. Król schodził z pagórka. Obszyte paciorkami

mokasyny deptały śnieg, który zgrzytał pod nimi, protestując przeciwko tej zniewadze.

Madeline zupełnie się załamała. W niczym już nie przypominała owej zalotnicy sprzed godziny, której śmiech był tak zaraźliwy, a rumieńce i roziskrzona oczy siały zamęt w głowach nauczycieli. Słaba, zgaszona, siedziała na krześle, tak jak ją zostawili Prince i Harrington. Malemute nachmurzył brwi. Nic z tego nie będzie. Gdy nadejdzie chwila spotkania z małżonkiem, Madeline musi się znaleźć jak cesarzowa, która mocno dzierży w garści berło swej władzy. Konieczne jest, żeby poszła w ślady białych kobiet, inaczej zwycięstwo nie będzie tryumfem. W tym duchu, surowo i bez owijania w bawełnę, przemawiał do niej Kid. Wtajemniczył ją również w słabe strony płci męskiej, aż w końcu zrozumiała, jakimi to głuptasami są w gruncie rzeczy mężczyźni, i pojęła, dlaczego słowo ich kobiet jest prawem.

Parę dni przed Świętem Dziękczynienia Malemute Kid znów odwiedził panią Eppingwell. Zaczynała kobieta najpierw przetrząsnęła swoje fatalaszki, a potem złożyła dłuższą wizytę w dziale konfekcyjnym Towarzystwa Handlowego Oceanu Spokojnego i wraz z Kidem udała się do jego domu, aby poznać Madeline. Teraz nastała era, jakiej chata Kida jeszcze nie znała: kroilo się tam, przymierało, fastrygowało, szyło i wyprawiało tysiąc innych cudownych i niepojętych sztuk, w związku z czym mężczyźni uczestniczący w spisku znaczną część czasu spędzali poza domem, na wygnaniu. W tych ciężkich chwilach masywne podwoje „Opery” stały przed nimi otworem. Tak często tam ich głowy zbliżały się do siebie i tak dogłębnie spełniali jakieś dziwne toasty, że bywalcy knajpy zaczęli węszyć w tym nieznanym potoki kryjące nieprzebrane skarby. Opowiadają, że gromadka *cheechakuo* oraz co najmniej jeden stary wyga złożyli wtedy za ladą baru swój ekwipunek, gotowi na każde zawołanie wybiec na szlak w pełnym rynsztunku.

Pani Eppingwell była niewiastą wielce utalentowaną. Toteż gdy w noc Dziękczynienia oddała Madeline w ręce opiekunów, dziewczyna tak była przeobrażona, że aż się jej zlekli. Prince z przesadnym szacunkiem, bardziej zresztą szczerym niż udanym, opatulił ją w kanadyjski koc, a Malemute Kid, którego wzięła pod rękę, nie bez poważnych trudności odzyskał minę mentora. Pochód zamykał Harrington. Bez przerwy nękany myślą o cenie, jaką zapłacił kiedyś Cal za tę dziewczynę, powłóczył nogami i przez całą drogę do miasta ani razu nie otworzył gęby. Gdy stanęli przed tylnym wejściem do „Opery”, zdjęli koc z ramion Madeline i rozesłali go na śniegu. Oswobodziła nóżki z mokasynów Prince'a i wstąpiła na koc w nowych atlasowych pantofelkach. Bal maskowy dochodził szczytu. Madeline zawahała się, lecz opiekuni otwarli drzwi na oścież i wepchnęli ją do środka. Potem obiegli dom, by wkroczyć do wnętrza frontowym wejściem.

— Gdzie jest Freda? — pytały stare, kute na cztery nogi wygi, a dudki *cheechakuo* tak samo energicznie dopytywały się, kto to jest Freda. W sali balowej aż szumiało od jej imienia. Freda była na ustach wszystkich. Szpakowate „kwaśne chłopaki”, pracujący na dniówkę w kopalniach złota, ale dumni ze swego przydomku, albo patrzyli z wysoka na wyelegantowanych dudków i łgali jak najęci — Bóg stworzył ich przecież właśnie po to, by blagowali — albo spojerali na ignorantów z niewymownym oburzeniem. Zebrało się dzisiaj ze czterdziestu królów z Górnej i Dolnej Krainy. Każdy z nich był pewny, że jest na tropie Fredy, i śmiało ręczył za trafność swego domysłu królewskim złotym piaskiem. Facetowi, któremu przypadło w udziale ważenie worków ze złotem, trzeba było przydzielić pomocnika, bo sam nie dawał już rady. Równocześnie kilku wytrawnych graczy — takich, co to w małym palcu mieli arkana hazardu — zorganizowało totalizatora i przyjmowało obiecujące zapisy. Jedni typowali kilka „koni”, inni obstawiali faworyta.

Która maseczka jest Fredą? Co chwila już się zdawało, że zdemaskowano grecką tancerkę, lecz każde odkrycie siało tylko popłoch wśród graczy i wywoływało nową falę zawrotnych zakładów ze

strony tych, którzy chcieli się odegrać. Malemute Kid też się zainteresował polowaniem na Fredę. Jego przybycie wesółą kompania powitała hałaśliwą owacją. Znali go tutaj wszyscy. Bystre oko Kida mogło rozpoznać charakterystyczny krok tancerki, a jego ucho było szczególnie czułe na brzmienie głosu. Wybór Kida padł na czarującą istotę, która jaśniała na sali jako „Zorza Polarna”. Ale grecka tancerka tak sprytnie się zamaskowała, że nawet Kid nie mógł jej rozpoznać.

Większość łowców złota opowiedziała się za „Rosyjską Księżniczką”, najwdzięczniejszą istotą na balu, a więc Fredą Moloof, któż bowiem mógłby jej dorównać?

W czasie kadryla podniosła się radosna wrzawa. Rozpoznano Fredę. Na poprzednich balach, gdy wodzirej wołał: „wszystkie pary kółeczko!” Freda wykonywała niepowtarzalną figurę własnej kompozycji. Gdy dzisiaj padła komenda, „Rosyjska Księżniczka” powtórzyła jota w jotę tę właśnie sztuczkę. Ledwie przebrzmiał chór okrzyków: „A nie mówiłem!”, od których zatrzęsły się belki powały, gdy — wielkie nieba! — wszyscy ujrzeli, że dwie inne maseczki, „Zorza Polarna” i „Duch Polarny”, odtńczyły nie gorzej tę samą figurę. A kiedy bliźniacze „Pozorne Słońca” i „Królowa Mrozu” poszły śladem swych poprzedniczek, trzeba było posłać drugiego pomocnika facetowi przy wadze.

Bettles przybył na bal prosto ze szlaku. Wraz z nim huragan mrozu wtargnął na rozgorączkowaną salę. Bettles zawirował w tańcu. Z okrytych lodem brwi woda lała się ciurkiem, wąsy wciąż zamrożone skrzyły się, jakby je ktoś obsypał diamentami, i mieniły wszystkimi kolorami tęczy, a roztańczone nogi ślizgały się z chrzęstem na soplach lodu odpadających od mokasynów i grubych wełnianych skarpet. Taniec na Północy nie podlega regułom etykiety, gdyż mężczyźni ze złotodajnych wąwozów i ze szlaku, jeśli nawet odznaczeni kiedyś wykwintnymi manierami, dawno ich się wyzbyli. Jedynie w najwyższych kołach świata oficjalnego przestrzega się zasad etykiety. Tutaj przynależność kastowa nie miała żadnego znaczenia. Milionerzy i golcy, poganiacze psów i konni policjanci na hasło: „panie do i prrodeczka!” podawali sobie ręce i zgodnie zataczali koło, wytańcowując aż miło przeróżne kawałki. Niewybredni w uciechach, jurni, nieokrzesani, nie byli jednak gburami, lecz zachowywali się jak prości rycerze, a ich rycerskość w niczym nie ustępowała najbardziej wyszukanej ogładzie.

W pogoni za grecką tancerką Cal Galbraith wkręcił się do kółka, w którym tańczyła „Rosyjska Księżniczka”, przedmiot ogólnych podejrzeń. Już jednak po pierwszym tańcu gotów był założyć się o swoje miliony, że to nie Freda, i co więcej, że nie pierwszy raz w życiu obejmuje jej kibić. Kiedy i gdzie to było, nie wiedział, ale dziwne uczucie bliskości tak nim owładnęło, że postanowił dowiedzieć się, kim jest ta kobieta. Malemute Kid mógł mu w tym pomóc. Ale Kid sam zapraszał „Księżniczkę” do tańca, kilka razy okrążył salę i coś jej z wielką powagą po cichu klarował. Najbardziej upartym adoratorem „Księżniczki” był Jack Harrington. Raz Jack odciągnął Cala na bok, podzielił się z nim najbardziej niezwykłymi domysłami, kim może być nieznajoma, i wyznał mu, że się na nią zawziął. Tego tylko brakowało królowi Circle City, wiadomo bowiem, że mężczyzna nie jest z natury stworzeniem monogamicznym. Cal zapomniał o Madeline i Fredzie. Co innego miał teraz na oku.

Niebawem poszła wieść, że „Rosyjska Księżniczka” nie jest Fredą Moloof. Ciekawość wzrosła. Oto nowa zagadka! Fredę znali i tylko nie mogli jej odnaleźć, a tu odnaleźli piękność, której nie znali. Nawet kobiety nic nie wskórały, choć znane im były wszystkie dobre tancerki w osadzie. Zaczęto przypuszczać, że jest to ktoś z miejscowej śmietanki towarzysztwa, kto sobie pozwolił na szaloną eskapadę. Znaleźli się i tacy, co zapewniali, że „Księżniczka” zniknie, zanim nadejdzie chwila zdejmowania masek. Inni równie stanowczo twierdzili, iż jest to reporterka „Gwiazdy” z Kansas City — przybyła tutaj, aby opisać ich wszystkich i wziąć po dziewięćdziesiąt dolarów za

kolumnę tej pisaniny. Obsługa wagi ciężko pracowała.

O pierwszej w nocy wszystkie pary ruszyły do tańca. Rozpoczęło się zdejmowanie masek. Śmiechu i radości było przy tym co niemiara. Wszyscy bawili się jak dzieci pozostawione bez opieki starszych. Wśród okrzyków zachwytu i zdziwienia opadała jedna maska za drugą. Olśniewająca „Zorza Polarna” okazała się jędrną Murzynką, której dochody z opierania mieszkańców osady sięgały sumy pięciuset dolarów miesięcznie. Bliźniacze „Pozorne Słońca” odkryły wąsy i zostały rozpoznane jako dwaj bracia, pomniejsi królowie Eldorado. Do najznakomitszych par tanecznych należał Cal Galbraith z „Duchem Polarnym”. Naprzeciw nich stał Jack Harrington z „Rosyjską Księżniczką”. Pozostałe panie odrzuciły już maseczki, a greckiej tancerki wciąż nie było widać. Oczy całej sali zwróciły się na tę czwórkę. Cal Galbraith, zachęcony okrzykami, podniósł maskę swej partnerki. Ukazała się piękna buzia i pałające oczy Fredy. Na sali powstała wrzawa, lecz natychmiast ścisła w napiętym oczekiwaniu na rozwiązanie nowej zagadki: kimże jest „Rosyjska Księżniczka”? Jej twarz wciąż okryta była maską. Jack Harrington mocował się z piękną nieznajomą. Wszyscy wspięli się na palce drżąc z ciekawości. Harrington brutalnie zdarł ze swej partnerki elegancki płaszcz, maska spadła — bomba wybuchła. Zostali wystrychnięci na dudków! Całą noc tańczyli z nieczystą Indianką.

Ale ci, którzy wiedzieli, a takich było wielu, nagle zamilkli i cisza zaległa salę. Cal Galbraith z gniewną miną wielkimi krokami ruszył do Madeline. Coś jej powiedział w indiańsko-angielskim żargonie. Ani trochę się nie zmieszała i nie zwracając uwagi na to, że wszystkie oczy są na nią zwrócone, odpowiedziała mu po angielsku. Nie znać po niej było ani lęku, ani gniewu. Malemute Kid uśmiechał się widząc, że Madeline zachowuje się jak prawdziwa dama. Król zrozumiał, że wyszedł na głupca i poniósł klęskę. Jego żona, prosta Siwaszka, wzięła nad nim górę.

— Chodź! — powiedział wreszcie. — Idziemy do domu.

— Żałuję bardzo — odparła — lecz przyrzekłam panu Harringtonowi, że razem zjemy kolację. Poza tym czeka mnie jeszcze kilka tańców, które już obiecałam.

Harrington podał jej ramię. Bez najmniejszego wahania pozwolił sobie pokazać plecy Calowi. Co prawda, Malemute Kid już się zdążył przepchnąć przez tłum i był pod ręką. Król Circle City osłupiał. Dwakroć sięgnął za pas i dwakroć Kid zebrał się do skoku. Wycofująca się z placu para przeszła jednak bezpiecznie do bufetu, gdzie podawano ostrygi z puszek, po pięć dolarów porcja. Tłum wyraźnie odetchnął i parami podążył za nimi. Freda wydeła wargi. Wraz z Caliem Galbraithem weszła do baru. Ale serce miała dobre, a języczek ostry, nic przeto dziwnego, że ostrygi Calowi zupełnie nie smakowały. Mniejsza o to, co mówiła, dość że twarz Cala czerwieniała i bladła na przemian, a on bez chwili wytchnienia klął na czym świat stoi pod własnym adresem.

W bufecie panował piekielny hałas. Ale gdy Cal Galbraith podszedł do stolika żony, zrobiło się cicho jak makiem siał. Od chwili zdjęcia masek ciężkie worki ze złotym piaskiem postawiono w zakładach o to, jak się ta awantura skończy. Wszyscy patrzyli teraz z zapartym tchem. Błękitne oczy Harringtona ani się nie zmrużyły, lecz adorator pod zwisającym ze stołu obrusem trzymał na kolanie pistolet marki „Smith and Wesson”. Madeline podniosła na Cala wzrok nie zdradzający większego zainteresowania.

— Czy... czy mogę cię poprosić o następnego walca? — wyjąkał król.

Małżonka króla rzuciła okiem na swój karnecik i skinęła głową.